



Na zdjęciu: Gena Wydrych i Maria Zbyszewska.

Fot.: Zdzisław Mozer

spotkanie z teatrem

SAME WŚRÓD LUDZI

TADEUSZ BURZYŃSKI

CZASEM życie przynosi tak nieprawdopodobne wydarzenia, spłaty okoliczności nieoczekiwane przypadki, że trudno w to wierzyć. Powieściopisarzowi czy dramaturgowi, gdyby to wymyślił, odpowiadano by w wydawnictwie lub teatrze: „Panie, to zbyt nieprawdopodobne, by takie brednie drukować lub pokazywać ludziom”. A przecież jednak zdarzyło się, że we Włoszech brat brata wwięził na 60 lat w komórkę, że japoński żołnierz ćwierć wieku po wojnie czaił się w buszu z karabinem, spełniając swą frontową powinność, że — wreszcie w Krakowie — tuż po wojnie dwie starsuszki z lęku przed „bolszewikami” przez kilka lat nie wychodziły z domu...

Jest jeden rodzaj literacki (jak kto woli — dziennikarski), dla którego te fenomeny, jak wszystko, co niesie życie, mogą być przednią pożywką. To reportaże. Czasem pisarze uprawiający inne gatunki zazdroszczą reporterom tej możliwości i na realiach reportaży budują opowiadania, scenariusze filmowe, dramaty. Przeważnie przyznają się do źródła inspiracji, bowiem tematy te bez stempla „historia prawdziwa” tracą sens.

„Non stop” Bordowicza, właśnie historia wspomnianych już krakowskich starsuszek, została wyprawiona z reportażu Krzysztofa Kąkolewskiego i świadomość uprzedzonego o tym widza, iż nikt tego nie wyssał z palca, iż wszystko to działo się wśród nas, obok nas, może za sąsiednią ścianą, nadaje jej lub może nadać głębszego społecznego sensu.

Otóż tego społecznego sensu nie dogrzebałem się wiele ani w sztuce, ani w dwu przedstawieniach na niej opartych, jakie oglądałem. Mylne tropy realizatorów sugeruje sam autor, jeśli jednak — jak sam wyznał — pisał sztukę dla dwu konkretnych, starych warszawskich aktorek, znając ich życiorysy artystyczne, rodzaj ról i sytuacji, w których ich dyspozycje mogły dać najbardziej twórcze rezultaty, można ewentualnie objąć amnestią niektóre z grzechów autorskich. Generalnie jednak, jeśli tę rzecz realizować na scenie to realizować z reportażem Kąkolewskiego w ręku, a gdzie się sztuka od reportażu oddala, przyznawać rację autorowi pierwowzoru albo do końca pozbawić jakichkolwiek konkretnych realiów, a więc stworzyć sztukę od nowa.

Jeśli dwie starszki straciły poczucie realiów i schowały się przed życiem to jest to problem dla psychologów, psychiatrów, geriatrów itp. Problem specyficzny, poważny, ale specjalistyczny. Jeśli dwie starszki, jedna z pamięcią o spełnionym kobiecym życiu, druga żyjąca okruczami z cudzego życia, zostały przez autora umieszczone w niezwyklej sytuacji, która umożliwia prowadzenie ciekawych obserwacji i analiz psychologicznych, jeśli to miałyby być rdzeniem sztuki, to zbyt wiele innych realiów i sygnałów zaciera mi tę warstwę. Jeśli sam umiem czytać, przeczytałem u Kąkolewskiego smutną historię dwu starych kobiet, których możliwości

adaptacyjne wyczerpały się w dniach wojny, które — wpadły w psychiczną agonię i przez kilka lat umierały (pod koniec w kategoriach dosłownych) w obojętnej obecności licznych ludzi. Przez pokój tych kobiet przewijają się w reportażu: gosposia, przyjaciółka, sąsiadki, lekarze, ksiądz, listonosz; niektórzy z odruchami pomocy. I co? Nie pomogli. Mogli pomóc czy nie mogli? Jak mogli? Tu są dla mnie rzeczywiste pytania.

Jest w sztuce (i pojawia się w przedstawieniach) taka scena: tłum zbierający się pod drzwiami starsuszek. Jak hieny. Sygnalizuje to, że lęki kobiet mogły mieć jedną całkiem realną motywację: byli tacy, którzy na ich śmierć czekali. Starsuszki posiadały bowiem jeden skarb: obszerne mieszkanie. Gdybym był na tyle szalony, by „Non stop” reżyserować, z tej sceny wygrodziłbym ideę swej realizacji, a w urojeniach kobiet nie byłoby szczerów, tylko przyszli lokatorzy.

Przedstawienie wrocławskie, jak i wcześniejsze warszawskie posiada ciężką, męczącą atmosferę. Z „Non stop” widza musi wyjść udreczony i zgnębiony. Tak w teatrze czasem się z widzem postępuje. Zazwyczaj jednak widz otrzymuje mniej lub bardziej precyzyjne wyjaśnienie w imię czego, dla jakiej idei go dreczono. Jestem tym widzem, który nie wie. Nie wiem i paru innych rzeczy. Np. dlaczego w realistycznej konwencji do pokoju przez okno upada „śnieg” i przez wiele „dni” nie topnieje. Z zachowania aktorek nie wynika, że w pokoju panował mróz do końca akcji. Dlaczego świeczka pali się dwa dni? Dlaczego chleb z jednego bochenka najpierw suchy zamiast w siódmym dniu szczerwieć, robi się całkiem świeży? Dlaczego w Krakowie pojawia się „Gazeta Robotnicza”? Jak możliwe, by stara kobieta bliska śmierci głodowej mogła podskakiwać w tańt ognistego „mazura”? Dlaczego głuchonieme dziecko śpiewa donośnym szepcieniem?

Role starych „kobiet” powierzono Geni Wydrych i Marii Zbyszewskiej. Zbyszewska ma już w dorobku takie role, poczynając bodajże od „Amerykańskiego ideału” sprzed kilku lat. Dla Wydrych jest to chyba jednak przedwczesny debiut. Wiem, że charakterystyka i umiejętności warsztatowe pozwalają tak zdolnym aktorom manewrować na scenie swym rzeczywistym wiekiem. Ale tylko w pewnych granicach. Przy czym chyba jednak dużo łatwiej jest się odmładzać na scenie niż postarzać. Zwłaszcza tak znacznie. Czego by jednak w punkcie poświęconym aktorkom tu nie napisać, faktem pozostaje, że one w końcu obie dźwigają to przedstawienie, którego połubić nie potrafię, ale które na premierze przecież swoją porcję oklasków zebrało. Poza przypadkami szczególnymi, które zachodzą rzadko, najlepiej — radzę — konfrontować opinie recenzenckie z własnymi.

Teatr Współczesny we Wrocławiu: „Non stop” Macieja Z. Bordowicza. Reżyseria: Halina Dzieduszycka. Scenografia: Kazimierz Wiśniak. Opracowanie muzyczne: Mirosław Jastrzębski. Premiera — grudzień 1975 r.